

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

8

Ciąg dalszy.

XI.

Snovard nie mylił się w rachubie; rzeczywiście z baronówną dodały mu jeszcze powagi, uroku, znaczenia. Cały Berlin o tem mówił od pałaców począwszy, a skończywszy na warsztatach rękodzielników. Skoro baron Ellerich, potomek najstarszej prawie rodziny magnackiej, oddaje córkę bankierowi, to musi to być niezwykle człowiek, nadzwyczajny bankier. Takiemu można ufać, można powierzać pieniądze, można oddawać na ślepo krwawo zapracowane oszczędności.

Tak myślano powszechnie, tak mówiono, tak się namawiano wzajemnie.

I płynęły pieniądze strumieniami i strumykami do tego oceanu bankowego Amerykanina, tak szczęśliwego i tak uszczęśliwiającego państwo „bożajni Bożej“.

Akcyje argentyńskie zdrożały na giełdzie, boć je przecież finansowała firma Snovarda. Spotęzniała teraz wieść dziennikarska, że wszechwładny król milionów zakłada nowe towarzystwo akcyjne, celem urządzenia żeglugi rzecznej w całym państwie. Snovard niby to nie przyznawał się do tego, niby zbywał pytających półsłówkami, nawet po części zaprzeczał, ale dzienniki uporczywie trwały przy swych doniesieniach i to jeszcze bardziej przekonywało tłum zaślepiony. Mniemano, że będzie to operacja na olbrzymie rozmiary, dająca olbrzymie zyski, właśnie dlatego, że Snovard milczy i w tajemnicy rzecz układa. Struchlało istniejące towarzystwo żeglugi parowej, struchleli posiadacze akcji tego towarzystwa, więc zaczęli je pospiesznie sprzedawać na giełdach. Akcje spadały w cenie z każdym dniem, z każdą godziną — aż wreszcie oddawano je za bezcen. Agenci Snovarda, nie znani nikomu, skupywali je teraz na giełdach niemieckich i na całym targu pieniężnym w Europie, skupowali spokojnie, od niechcienia, a by nie zdradzić się.

W krótkim czasie został Snovard właścicielem prawie wszystkich akcji starego towarzystwa parowej żeglugi, a wtedy zaprzeczył wyraźnie, jakoby miał zamiar nowe towarzystwa zakładać. Prawo karne niema niestety paragrafu, któryby taki rozbój piętnował; jest to w opium świata szczęśliwa, czy zręczna operacja finansowa, chociaż jest poprostu oszustwem i rozbojem. Tysiąc krzywd ludzkich, strumienie łez, nie jedno życie, samobójczo przerwane, oto cena, za którą Snovard nowe zgarnął miliony. W stolicy państwa, z rozboju i oszustwa wyrosłego, w stolicy państwa, którego prawa są bezprawiem i gwałtem, wśród społeczeństwa bijącego ciołem przed siłą pięści, Snovard budził tylko podziw, tylko uwielbienie.

Zabrał się też do urządzenia domu. Wyrachowanie mu powiedziało, że im więcej na to wyda, tem więcej zyska; nawet i w tem kierował się rachubą, spekulacją, żądzą zysku. Wypowiedział mieszkaniu wszystkim lokatorom, rzucał hojnie pieniędzmi, aby się bezzwłocznie wyprowadzili. W kilku dniach cały ten olbrzymi gmach opustoszał. Legiony murarzy zabrali się do roboty. Wykonawano ją po amerykańsku, z szalonym pośpiechem. W kilku tygodniach powstał z dawnej „Excelsior-restaurant“ wspaniały pałac. Na parterze urządzone kantory bankowe, a mianowicie biura dla urzędników i korespondentów, a pierwsze piętro przeistoczono na królewską rezydencję. Na wyższych piętrach pokoje rezerwowe, gościnne, dla służby. W dziedzińcu powstał ogród zimowy; w dokupionej, przyległej realności urządzono stajnię i wozownię. A wszędzie przepych, zbytek, bogactwo olśniewające.

Cały Berlin zdumiewał się, podziwiał, gapił się tłumy, zbiegały się liczne rzesze z całego miasta, aby oglądać te cuda. Snovard był przedmiotem rozmów, stał się niemal słońcem, przy którego blasku zniknął nawet zamek pod „Lipami“. Wygolona, zasuszone, zimna i beczelna twarz Amerykanina, widniała na kartach korespondencyjnych, i popularniejszą była nawet od sierzdziej, wyzywającej twarzy Wilhelma II.

Dopiero z końcem lutego powrócił baron Ellerich z córką do Berlina. W Wiedniu, zatrzymawszy się dla odpoczynku, wyczytał baron w dziennikach, że dr. Fryderyk Schwerdtner ogłosił zna-

komite dzieło naukowe i na tej podstawie powołany został na katedrę uniwersytecką w Austrii. Witając się teraz z nauczycielem swego syna, serdecznie go uściskał.

— Szczęść Boże, kochany panie — rzekł do Schwerdtnera — dumny jestem z tego, że taki człowiek był nauczycielem mego dziecka.

Schwerdtner zdziwił się tym wylewem serdeczności, tak niezwykle u barona. Czy to była szczerłość, czy tylko próżność?

Doktor miał dopiero z początkiem letniego półroczia objąć katedrę, ale chciał już teraz opuścić dom barona i stolicę, aby gdzieś w zakątku, w ciszy i spokoju przysposabiać się do pierwszych wykładów. Miał zamiar udać się do Berghausen. Baron nastawał na to, aby jeszcze kilka tygodni Schwerdtner pozostał, dopóki nie znajdzie się dla Augusta umieszczenie w jakim znakomitym zakładzie naukowym. Teraz zająć się tem nie można, bo za dwa tygodnie będzie ślub Elwiry ze Snovardem. W domu tyle zajęcia, August przed ślubem opuścić domu nie może.

Nie na rękę to było doktorowi. Uroczystości weselne nie nęciły go wcale, nawet wprost odstraszały; każdy dzień pobytu w tym domu, był dlań przykrością. Radby czempredziej usunąć się od tego świata obłudy, dziwactw, próżności; radby zapomnieć o Elwirze, o wrażliwości, o miłości, która się w nim odezwała tak głośno, tak wyraźnie w onej chwili, gdy mu August o zaręczynach siostry powiedział.

A jednak zostać potrzeba, przez wzgląd na przyzwoitość towarzyską, a jeszcze bardziej przez wzgląd na Augusta, który szczerze pokochał swego nauczyciela i teraz go zaklinał, aby pozostał. Schwerdtner zgodził się na to; miała to być dla niego nowa próba ogniowa charakteru i woli. Zdawał sobie z tego sprawę, że sposobiasz się do życia, aby je przejść dzielnie, po męsku, należy niekiedy wystawiać się na próbę, narażać się na cierpienia, aby się nauczyć walczyć ze samym sobą i samego siebie pokonywać. Uroczystości weselne będą dla niego próbą i cierpieniem.

Elwiry przez całe dwa tygodnie nie widział. Zajęta była przygotowaniem wyprawy i wydawaniem rozlicznych dyspozycji. Snovard prosił jej, ażeby obejrzała zakupione konie i powozy, to znowu, ażeby wybierała meble, innego dnia zajęta była doborem precyozów. Tak upływały dzień za dniem, godzina za godziną, a jednak Elwira uczuwała jakąś pustkę koło siebie, czegoś jej nie dostawało, czegoś pragnęła. Rozstrój ją ogarniał, chaotyczne myśli gnębiły, niezadowolona była z siebie i ze wszystkiego, co ją otaczało. Nawyknięcie do zadawania sobie przymusu ze względów towarzyskich, ułatwiała jej panowanie nad sobą i zachowanie zewnętrznego spokoju.

Nadszedł dzień wesela. Z największym przepychem przyozdobiono pałac barona, przygotowano wszystko na przyjęcie gości jak najwspanialej, tak, że widać było z najdrobniejszego szczegółu, że duma rodowa starego szlacheica łączy się z milionami bogacza. Wszystko, co tworzyło najprzejdniejsze towarzystwo stolicy, zgromadziło się teraz na salonach barona; miał być orszak weselny nie widziany chyba w Berlinie. Wśród licznych gości był też dr. Rummel i według zwyczaju po cichu szydził i dowcipkował.

— Ta ozłocona wspaniałość przypomina mi starożytne ofiary pogańskie, na cześć bogów składane, a wtem tylko różnica, że dziś ofiara dobrowolnie rzuca się w paszczę Molocha — szeptał Rummel do jednego ze znajomych.

W salonach brakowało tylko Schwerdtnera. Już orszak weselny pozajmował powozy i ruszono do kościoła, gdy August, nie widząc Schwerdtnera, wyskoczył z powozu i pobiegł do jego pokoju.

— Panie doktorze, już wszyscy wyjechali, dlaczego pan nie pokazał się w salonach? — wołał August.

Schwerdtner kończył się ubierać, a umyślnie się spóźnił tak bardzo, ażeby nie być świadkiem tego ślubu, który dla niego był ciosem bardzo bolesnym.

August naglił i zaklinał się, że do kościoła nie pojedzie bez swego ukochanego nauczyciela.

— Ja panu prawdę powiem — mówił August — że mi się ta cała historia niepodoba. Gdzie też Elwira podziła oczy? Ja nie mogę znieść tego człowieka, co na nieszczęście ma zostać moim szwagrem.

— Tak nie trzeba mówić Auguste, bo tem obrażasz nie tylko siostrę, ale i ojca.

Mówiąc to czuł Schwerdtner, że spełniając obowiązki nauczycielskie, klóci się z własnem przekonaniem. Zebrał się prędko i pojechali z Augu-

stem do kościoła. Weszli przez zakrystyę, bo przez zapchany kościół dostać się do ołtarza było niemożliwe i stanęli w progu kościoła. Młoda para klękała przed ołtarzem. Pastor miał sztucznie ułożoną mowę, w której zręcznie omijał wszystko, co by o miłość potraçało, boć byłoby to wprost urągawiskiem, gdyby o związku serc chciał przemawiać. Skończyła się mowa, nastąpić ma złożenie przysięgi. Elwira rzuciła okiem w bok ołtarza i spostrzegła na progu zakrysty Schwerdtnera. Nagle zatrzęsała się, zbladła, przygryzła wargi, ciche westchnienie wyrwało się z piersi i oczy smutnie w dół spuściła.

Schwerdtner to widział i uczył litość jakąś nad nieszczęśliwą ofiarą, ale z tą litością skojarzył się żal i wyrzut, że rozwiła w nim marzenia o czarownej księżniczce z bajki, że zburzyła w nim pojęcia, jakie miał o świecie salonów. Ponadto głośnieją przemawiała w jego sercu zawiedziona miłość. Błady stał, marmurowy, panujący nad sobą i słuchał przysięgi.

— Czy masz szczerą i nieprzymuszoną wolę pojąć za małżonkę — zapytał pastor Snovarda, a ten głosem dobitnym, stanowczym i donośnym odpowiedział: „tak“.

Natomiast Elwira zaledwie szeptem rzekła to stanowcze słowo i wyglądała, jakby ją siły opuszczały, jak ubezwładniona, jakby lada chwila omdleć miała.

Skończony obrzęd zaślubin. Baron uściskał córkę, wyglądał strasznie, jakby go furie targały, jakby mu wyrzuty sumienia aż do twarzy się wgryzły. August zbliżył się do siostry, a ona przycisnęła go do piersi i z łkaniem szepnęła:

— Bądź szczęśliwy braciśzku i pamiętaj o siostrze.

Nic więcej powiedzieć nie mogła, łkanie ją dławiło. Schwerdtner stał zapatrzony gdzieś w dal i nic nie widział w koło siebie, dopiero August ocucił go zamyślenia.

— Chodźmy panie doktorze, już wszyscy wyjeżdżają.

X.

Biesiada weselna trwała długo. Schwerdtner siedział przy stole, jak na torturach. Męczyły go banalne, zdawkowe toasty, nudziły tuzinkowe rozmowy sąsiadów, ale najdotkliwiej było mu patrzeć na Elwirę. Siedziała przy mężu z wyrazem twarzy pełnym przygnębienia, zniekania. Wyglądała złamana na duchu, nieśmiała, upokorzona. Przypadkiem spotkały się spojrzenia Elwiry i Schwerdtnera. W oczach Elwiry mógł być Schwerdtner wyczytać prośbę, aby jej wybaczyl, aby jej nie złożył, aby nią nie pogardzał. Czy naprawdę była taka prośba w jej oczach, czy mu się tylko zdawało?

Wreszcie wstano od stołu. Doktorowi spadł kamień z serca. W tłum mężczyzn, spieszących na cygara do fimoarów, wniósł się, aby zapomnieć o wstrętnej mu postaci Snovarda, a błagających o litość oczach Elwiry. Dziwnie był rozstrojony. Dziś rano jeszcze cieszył się, że niebawem opuści dom barona, nie miły dlań, nawet przykry; dziś rano jeszcze promieniała mu przed oczyma przyszłość na katedrze profesorskiej, uśmiechała się do niego, jasna, ponętna. A teraz nie rażno mu opuścić ten dom, przyszłość nie nęci go, nie pociąga.

Coś się tam w duszy jego klóci, mąci, a tylko błagające oczy Elwiry wyraźnie mówią, że nie jest szczęśliwą, że potrzebuje jego współczucia, czy pomocy.

Sam z siebie nie kontent, z rozdarta, poszarpaną myślą, zapragnął ciszy i spokoju, więc poszedł do swego pokoju, by w samotności skupić się, odzyskać jasność umysłu. Widok książek, skryptów, działać zaczął kojąco i doktor był w godzinę spokojny, wróciła mu trzeźwa rozważa.

Uderzyła godzina dwunasta. To mu przypomniało, że jeszcze spełnia tu obowiązki, że powinien troszczyć się o swego ucznia Augusta. Powinien go zabrać do spoczynku, boć chłopczyzna nie ma ani towarzystwa dla siebie wśród biesiadnych gości, ani też nie potrzebuje spełniać obowiązków gospodarskich, a następnego dnia ma do egzaminu zasiadać. Trzeba chłopcu pokrzepiającego snu; już i tak godzina spóźniona. Więc wyszedł Schwerdtner i zdążył do salonów. Zdala dołatywała go dźwięki kotyliona i głos Rummela, który tańcami kierował. Już stanął na szczycie schodów, wiodących do westybulu, gdy spostrzegł jakiegoś barczystego mężczyznę, jak do płomienia gazowego podniósł rękę z cygarem, by je zapalić. Mężczyzna był plecyma do niego zwrócony, więc poznać go